

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

**Wywiad z Edwardem WÓLTAŃSKIM
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Lubinie, dn. 16 lipca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania „Ostatnie ofiary stalinizmu” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945-1989, ze szczególnym uwzględnieniem stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Edward WÓLTAŃSKI

Gdzie i kiedy się Pan urodził?

Urodziłem się w Kraśniku, w 53 roku, lubelskie.

Kiedy dokładnie? Jaka data?

Skomplikowana. Bo naprawdę urodziłem się 13 października 53 roku, a zapisane mam w dokumentach 13 grudzień 53. Przepowiedziano mi trzynasty grudnia.

Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny. Kim byli Pana rodzice, jaki zawód wykonywali, gdzie pracowali?

Robotnicy. Ojciec – operator maszyn budowlanych, pracował na budowach. Mamusia też pracowała w różnych miejscach. W szkole sprzątała...

W Kraśniku?

W Kraśniku!

Czy miał Pan/ ma Pan rodzeństwo?

Tak, było nas czworo. [Mam] dwie siostry i starszego brata.

Czy Pana rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność opozycyjną?

Może trudno to nazwać [działalnością] opozycyjną, ale ojciec zaraz po wojnie był w wojsku. To był taki okres, że trudno było znaleźć ochotników do milicji i jak wychodził z wojska, to wymyślono coś takiego, że co dziesiątemu kazano się wcielić do milicji. No i wypadło na ojca. Właściwie on nie odmówił, ukrywał się. Oni to liczyli jako dezercję.

Była to jakaś działalność antypaństwowa.

Musiał się ukrywać. Ponieważ moi rodzice pochodzą z Kurpiów południowych, (Pułtusk, Obryte) ukrywał się w Warszawie na budowach. Bo to był największy bałagan, tam

najłatwiej było się ukryć. Później [był] w firmie, w której się trochę zatrudnił. Pojechali do Świdnika, budował Świdnik, a później, po kilku miesiącach [pojechał] do Kraśnika Fabrycznego i tam ostaliśmy się, bo ja już się tam urodziłem, później siostry.

Czyli rozumiem, że Pana rodzice nie byli w PZPR?

Nie, nie byli w PZPR. Natomiast Kraśnik Fabryczny to było miasteczko stalinowskie, W 53 roku [otrzymało] prawa miejskie. Wtedy, kiedy ja się urodziłem, mówiło się, że ludzie tam żyli wiecznie, ponieważ nie było ani kościoła, ani cmentarza. Był tylko jeden krzyż na skrzyżowaniu i kapliczka pod lasem. Jest taka bardzo ciekawa historia, która nigdzie nie jest nadmieniona (tylko w zapiskach Prymasa Wyszyńskiego i w filmie o Wyszyńskim), mowa o tzw. „wojnie religijnej” w Kraśniku. W 59 roku w Kraśniku Fabrycznym była „wojna religijna”. Pod lasem była kapliczka. Jak ludzie [chodzili] na majówki, czasami padał deszcz, [więc] zrobili przedłużenie, takie zadaszenie tej kapliczki. Tam blisko była budowa, na której pracował też mój ojciec (ja miałem wtedy 6 lat, ale coś tam pamiętam, co opowiadał ojciec). Jakiś dziadek zwrócił się [z prośbą] o kilka desek i ojciec dał te deski. I ktoś to widział i później go zaaresztowali. Ale dopiero po wojnie. O co chodzi? Jak ludzie zrobili to zadaszenie, to któregoś dnia przychodzą i kapliczka była zburzona. Starsi ludzie zaczęli się zbierać i protestować. Czekali, aż będą wychodzić pracownicy z Fabryki Łożysk Toczących – to jest trzy kilometry. Wtedy nie wozilo się autobusami, tylko piechotą [chodzili]. A więc jak wychodzili po syrenie fabrycznej z pracy, to był kordon ludzi. I dziadkowie to bardzo ładnie wykorzystali. Podeszli troszeczkę do przodu w stronę fabryki i jak ludzie szli, to informowali, że „zburzyli nam kaplicę, chodźcie!”. Już wtedy pamiętam taki zwrot „chodźcie z nami, chodźcie do nas”. I to wszystko zaczęło się gromadzić wokół prezydium. Prezydium – tak się mówiło na urząd miasta. Przy urzędzie miasta, z boku był posterunek milicji obywatelskiej. A ktoś się wywiedziało, że to milicja [zburzyła], więc protestowali tam przed milicją, przed urzędem. Zebrało się bardzo dużo ludzi, bo już w samej fabryce kilka czy kilkanaście tysięcy ludzi pracowało. Milicja się troszeczkę przestraszyła. Zamknęli się, bo ludzie krzyczeli: „oddajcie nam Boga”. Zabarykadowali się, [ale] któryś z milicjantów nie wytrzymał. Wiem, że niby nie było strzałów do tłumu, ale gdzieś tam strzelali, zaczęli strzelać w górę. To rozwścieczyło tłum i efekt był taki, że spalono to prezydium. Podpalono, powybijano szyby. I ta wojna trwała tak naprawdę do wieczora, a rano już wszystkie szyby były wstawione. Na pewno tam były różne dochodzenia i ktoś tam doniósł, że ojciec dał te deski i, pamiętam, (mieszkaliśmy w takich barakach) jak siedziałem w kucki pod barakiem, a przyszła milicja i zabrała ojca. Tak że wiem, że siedział trzy czy sześć miesięcy. Pamiętam jak mamusia śpiewała takie różne piosenki. Zresztą, o tym w pewnym momencie Pan się dowie, że mi wspominał ubek, który mnie później przesłuchiwał. Chwalił się, że takie rzeczy wie. A jeszcze jeżeli chodzi o takie nastawienie może polityczno-historyczne, to mój dziadek zginął na samym początku września 39 roku. Był przewoźnikiem na Narwi i mamusia mi opowiadała, że uciekali przed Ruskimi (przed Ruskimi, nie przed Niemcami). Ja wiedziałem od łebka, że Rosjanie napadli na Polskę 17 września. Często zadawałem sobie pytanie- jak to jest? Tu Niemcy, tu Ruscy, tu dziadek. Dziadka nie znałem, zginął od Ruskich.

Jakie wartości, które Pan wyniósł z domu, mógłby Pan wskazać jako szczególnie ważne?

Wiedziałem też, że ojciec się ukrywał. Jako łebek różnie myślałem. Ja byłem wierzącym, praktykującym od łebka. Chociaż nie było tego kościoła, ale się chodziło do kościoła albo 8 km do Kraśnika albo 5 km do Urzędowa. Ja jeszcze jestem z tego okresu, kiedy religii nie można było [się uczyć] w szkole. Po „tajniacku” uczyliśmy się

religii. Tak że wartości [religijne] i wiadomości z wojny, czyli od chłopca pomalutku rozwijały się [wartości] patriotyczno-religijne.

Porozmawiajmy teraz na temat Pana działalności, najpierw społecznej, potem opozycyjnej. Czy należał Pan do jakichś organizacji społecznych, młodzieżowych, kościelnych?

Chodziłem do Państwowego Liceum Plastycznego w Lublinie, na Grodzkiej i miałem takie szczęście w życiu, że spotkałem bardzo dużo ciekawych ludzi. Między innymi moim wychowawcą (mieszkałem jakiś czas w bursie w Lublinie), dyrektorem bursy był Pan Michał Fijałka. To był tzw. cichociemny, dowódca 27 Wołyńskiej. On przed samą śmiercią zdążył napisać tę książkę „AK 27 Wołyńska”. Myśmy dosyć dużo od tego pana Michała Fijałki wyciągali. Założył harcerstwo, to harcerstwo, gdzie lilijka wróciła itd. I wtedy dałem się na jakiś czas zapisać do bardzo określonego harcerstwa. Ale tak, to raczej stroniłem od [organizacji].

Jak wyglądała Pana droga edukacji po liceum w Lublinie?

Ja tam przede wszystkim uczęszczałem do księży jezuitów na religię. Uważam, że przez te pięć lat wychowywałem się u jezuitów. Mieliśmy maturę z religii, nie tak jak w innych [szkołach]. Ja mam normalny dyplom z religii. No i przede wszystkim tam u jezuitów spotkałem bardzo ciekawych ludzi. Na przykład wtedy ojcem superiorem był ojciec Pełka. On przez większość pontyfikatu Jana Pawła II był dyrektorem Radia Watykańskiego. Oprócz ojca Matusiaka jest, niedawno został też odznaczony przez prezydenta Kaczyńskiego, ojciec Sroka, Bronisław Sroka. To był taki nawet kolega papieża, bo razem coś tam wykładali na KUL-u. Ojciec Sroka siedział kilka razy w więzieniu za takie rzeczy wtedy z lekka opozycyjne. On jako jeden z pierwszych prowadził w kościele konferencje dla nauczycieli, dla lekarzy. To jest niesamowite, w latach 60 prowadzić konferencje. W każdym razie to był mój taki mistrz, z którym pięknie do tej pory [mam kontakt], który właściwie dał mi wychowanie. On nas uczył myśleć. On, ojciec Sroka służył jeszcze w marynarce wojennej. On nie przedstawiał nam wniosków, tylko nas doprowadzał, uczył nas myślenia. Na przykład jak mówił o II wojnie światowej, to nie opowiadał jakiejś tam historyjki, tylko przedstawił nam liczbami, cyframi, czyli zmuszał nas do myślenia. Tak że miałem szczęście do bardzo ciekawych ludzi. Właśnie szczególnie tam, w Lublinie. Właśnie w tym okresie szkoły, liceum plastycznego. W takich moich wizjach miałem marzenie zostać misjonarzem i dlatego cicho myślałem, nikt nie wiedział, o pójściu do zakonu jezuitów po to, żeby potem wyjechać na misje. Ponieważ bardzo się interesowałem kulturą i sztuką Indian, Majów, Inków, Azteków. Nawet założyłem tam w szkole koło miłośników Indian. Wtedy nawet współpracowałem z takim znanym obecnie człowiekiem, Dawidem Warszawskim. Ja go znam z tych czasów, początek lat siedemdziesiątych jako koło miłośników Indian. Ja znałem Toni Halika, panią Elżbietę Dzikowską. Myśmy się ogłaszali w „Kontynentach”, w „Poznaj świat”. I napisała do nas taka grupa z Elbląga, że będą nam przysyłać różne artykuły, i że mogą nam tłumaczyć angielskie. Bo z kolei, w którejś tam klasie, w trzeciej chyba, ja przeniosłem się na stancję i mieszkałem u takiego pana, takiego dziadka, dawnego szlachcica, którego brat po wojnie został w Argentynie, w Buenos Aires. Ja nawiązałem z nim kontakt, on mnie skontaktował z ludźmi z Indianistyki, oni nam przysyłałi ciekawe artykuły o Indianach, no i Dawid Warszawski nam tłumaczył. Bo ja nie umiałem angielskiego i do tej pory nie umiem. Tak że znałem wtedy pana Dawida Warszawskiego z innej strony. Zresztą kiedyś byłem na takiej rocznicy „Gazety Polskiej” i on tam był, i mu się przypomniałem.

Co się działo po skończeniu liceum plastycznego?

Już mówiłem, że marzyłem o pójściu do zakonu jezuitów. Marzyłem o misjach i chociaż miałem możliwości studiowania pod kątem artystycznym, u świętej pamięci prof. Stelmasika, takiego też bardzo znanego człowieka, malarza, ale mi przyszło do głowy, że jak będę gdzieś na misjach, to trzeba... Zresztą ja sportem się zajmowałem wcześniej, bo nawet w szkole podstawowej uprawiałem akrobatykę sportową. Zresztą każdą dziedzinę sportu uprawiałem. W szkole, w plastyku chodziliśmy na salę Sokoła (to też historyczna sprawa) w Lublinie. Sokoła. W każdym bądź razie zdecydowałem się pójść na AWF, żeby rozwinąć się w tym kierunku. Nie chciałem po żadnej znajomości ani w Warszawie, ani w Białej Podlaskiej, tylko na własną rękę uciekłem na zachód, do Wrocławia. Tak że liznąłem jeszcze AWF, ale nie skończyłem, z różnych finansowych powodów. Ale to już historia.

W jaki sposób trafił Pan w takim razie do Lubina?

Właśnie we Wrocławiu miałem pracować w PDT, ale spotkałem kolegę plastyka, który mi powiedział, że słyszał, że tu w Lubinie, w Polkowicach, w kopalniach potrzebują plastyków, łatwiej jest tu o mieszkanie, dobrze się zarabia. Więc dla mnie, człowieka wolnego, luźnego... Przyjechałem i tak tutaj zostałem. Zatrudniłem się w zakładach górniczych „Rudna”.

Kiedy i gdzie rozpoczął Pan działalność opozycyjną?

Tak się składa że znając ojca Srokę, kiedy go odwiedzałem, słyszałem wiele rzeczy. Teraz po latach okazuje się, że ojciec Sroka miał kontakty. Po 30 latach zostałem zaproszony na 30-lecie ROPCiO. Okazało się, że poprzez ojca Srokę byłem gdzieś tam w strukturach, ponieważ rozprowadzałem prasę niezależną.

Czyli już w końcu lat 70?

Tak, tak, w końcu lat 70. – „Bratniaka”, „Robotnika”, „Rolnika”. A nawet, mimo że mieszkałem już tu, to jeździłem do Lublina. Ja od ojca Sroki z Lublina przywoziłem „Biuletyn Dolnośląski”, ten, który zaczął wydawał Kornel we Wrocławiu. Tak że zamiast do Wrocławia, to ja jeździłem do Lublina i przywoziłem. Już przed rokiem 80 miałem jakieś kontakty z prasą niezależną. Interesowałem się 76 rokiem, wcześniej 70. W 68 roku ja tu byłem u cici jak był najazd na Czechy. Przeżyłem tutaj wypadanie szyb i czołgi, i też sobie zadawałem pytania różne, bo się interesowałem.

W momencie powstawania Solidarności wstąpił Pan w jej szeregi?

No, to jest za skromnie powiedziane, że wstąpiłem. Ja byłem plastykiem, jeździłem na plenery, organizowałem plenery, założyłem takie stowarzyszenie plastyków nieprofesjonalnych, zapraszałem ludzi z Polski i ja w Polskę jeździłem. Plastycy mają dużo kontaktów, dużo się słyszy, dużo się rozumuje. Za mało się zaznacza czegoś takiego, że tak naprawdę strajki 80 roku zaczęły się gdzie?

W Świdniku.

W Kraśniku Fabrycznym! I w Świdniku! I w Lublinie! W lipcu. I tak się składało, że ja byłem właśnie wtedy na urlopie w rodzinnych stronach. Siostra już pracowała w fabryce, tak że znałem od podszewki. Rzeczywiście dostali tam jakieś pieniądze i po jakimś czasie ten strajk się skończył. Tak samo skończył się strajk w Świdniku. Nawet pamiętam, jak go nazywano- „strajk o kotlet”, bo poszli do stołówki i kotlet mielony był dwa razy droższy. Bo to były przecież bardzo duże podwyżki. No i tak się też składa, że wujek mojej żony był kolejarzem i bardzo dobrze znałem historię tego przyspawanego pociągu, tego z tą farbą, niby farba jechała na olimpiadę, a to były puszki z szynkami

itd. Znałem także historię strajku na PKP w Lublinie, gdzie wszystkim mówię i zaznaczam, (bo my tego nie pamiętamy, nie zdajemy sobie sprawy) że wcześniejsze manifestacje, protesty były takie mało zorganizowane. Dopiero strajk kolejarzy w Lublinie wprowadził taką bardzo ważną, najważniejszą formę do strajków, do protestów. Kolejarze powołali tzw. straż strajkową. Oczywiście łatwo to było [zrobić], bo z sokistów. Ale oni, ta straż, robiła porządek. Ten strajk zamykał się w porządku. Te strajki przeszły z Lublina przez Warszawę (przecież w Warszawie też w hucie) i doszły do Gdańska dopiero 14 sierpnia. Jak ja przyjechałem tutaj do Lubina, to tutaj takim podstawowym środkiem komunikacji umysłowej to nie były, wiadomo, gazety, tylko tu był bardzo ciekawy środek, autobusy pracownicze. Bo o co chodzi? Tak jak tutaj widzimy, kopalnie są właściwie daleko rozrzucone. Wszystkich górników, każdego pracownika dowoziło się autobusami. Więc najwięcej wiadomości [dowiadano się] w autobusie. Jak chciałeś puścić jakąś kaczkę albo jakąś informację [albo] rzeczywiście chciałeś się czegoś dowiedzieć, to najwięcej dowiedziałeś się w autobusie. Tam się dyskutowało, tam się rozmawiało i kontakt z ludźmi. Właśnie wróciłem z Kraśnika, z urlopu i mówiłem ludziom, że w Kraśniku, w Świdniku był strajk, że są strajki, że „może my też byśmy coś zaprotestowali?”. Mówię tak prosto, ale wiadomo, w różnych formach się rozmawiało. To środowisko tu było ciężko. Wiadomo, górnicy byli w jakiś sposób, jakby to powiedzieć, byli wiązani na lejcach lepszym zarobkiem, profitami, czymś tam, łatwiej było to, łatwiej tamto. No i przede wszystkim ludność napływowa, nie znamy się dobrze, nie zintegrowana. Musimy pamiętać, że Lubin w 65 roku miał jeszcze 6 tys. ludzi, a już w 80 siedemdziesiąt kilka tysięcy. A więc władzy tutaj było bardzo ciężko rządzić, bo tutaj zlepek różnych naleciałości. Przyjeżdżali tutaj różni. Jak mówili, w tych hotelach to byli różni, i bandziory, złodzieje, dużo więziennictwa. I narodowościowo tutaj było dużo i z tych różnych stron Polski. W różny sposób tu się ludzie znaleźli. Czyli ciężko było się dogadać. To naprawdę jakieś grupki zaufanych... Zresztą nigdy nie było wiadomo na czym zaufanie to mogłoby polegać. Tak że patrzyli na mnie jak na wariata: „Co on tutaj pracuje? Mąci, maluje jakieś transparenty, a tu gada takie rzeczy.”. Wszystkim też mówię, bo nie zawsze tu jest prawidłowo pisane, jak powstały strajki w Zagłębiu Miedziowym; mało kto wie, że dzięki dwóm pracownikom PKS-u, Mietkowi Garbusiowi i Jankowi Czukiewskiemu, dzięki kierowcom my tam, na kopalniach mogliśmy rozpocząć strajk. Ponieważ kierowcy nie dowiedzieli górników, ani nie zabrali górników. I w końcu zaczął się strajk, bardzo późno, bo dopiero 27 sierpnia. A ja wcześniej pracowałem jako plastyk, więc malowałem różne rzeczy, ale też i prowadziłem radiowęzeł. Moim takim hobby, i w szkole, i w akademiku i wszędzie był radiowęzeł. No i ja chłopakom z komitetu strajkowego mówię: „No co wy tu piszecie jakieś takie karteczki? Tu podstawowa informacja to jest radiowęzeł na zakład.”. I w ten sposób znalazłem się w tym dosyć ścisłym gronie i zawsze byłem od spraw informacji.

Jaką funkcję Pan pełnił przez ten okres tzw. „karnawału Solidarności”?

Przez te 16 miesięcy, jak powstała Solidarność (dlatego też uważam się za twórcę Solidarności) byłem w Komisji Zakładowej, i, tak jak powiedziałem, byłem od spraw informacji. Prowadziłem radio Solidarność. Radiowęzeł, ale oprócz tego radio Solidarność jako osobny twór.

Przejdźmy teraz bezpośrednio do stanu wojennego. Mieszkał Pan w Lubinie. Był Pan wtedy kawalerem?

Nie, w stanie wojennym miałem już siedmioletnią córkę. Dlatego było ważne opowiadanie, jak trudno było zorganizować strajk w 80 roku. Przez 16 miesięcy myśmy się poznali, zobaczyli, co jesteśmy warci, co można robić. I kiedy Jaruzelski ogłosił stan wojenny, to 14 rano od razu zatrzymaliśmy klatki zjazdowe i zaczął się strajk. I co dla

władzy było szokiem, że tak sprawnie we wszystkich zakładach zadziałała solidarność ludzka. Jest to ważny element i na ten element zwracam uwagę. Ja też wszystkim tłumaczę sprawy, które się stały, morderstwo w 82 roku, bo mało kto zadaje sobie pytanie. Mówimy o tym morderstwie, ale nie zadajemy sobie pytania, dlaczego w Lubinie. Dlaczego w Lubinie były ofiary śmiertelne?

Dlaczego nie w Głogowie, nie w Legnicy?

Dlaczego gdzie indziej nie użyto ostrej amunicji? Oprócz Wujka, bo Wujek to była osobna sprawa. Ja mam do tego teorię, ale o tym może nie będziemy tutaj mówić. Jest to związane właśnie z tym, co mówię. Władza potrzebowała terapii wstrząsowej. To było takie badanie, to było zaskoczenie. Tu byli zadowoleni, że w 80 roku tak ciężko [nam poszło], czyli oni dobrze spełniają swoją rolę, swoje zadanie. Pamiętajmy, że tu po pierwsze najbogatszy teren, po drugie otoczony kordonem radzieckim.

Legnica, tak?

Legnica... O tutaj na Przylesiu stało wojsko radzieckie, były kombinat. To też stało wojsko radzieckie, ale już wtedy oczywiście nie. Jak się jedzie na Chocianów tam jest takie wzgórze, silos raketowy, też patronat mieli. No i druga stolica Związku Radzieckiego - Legnica, prawda? A więc władza się cieszyła, że tak ciężko tutaj było, te protesty w 80 roku, ale się przeraziła, że tak solidnie i mocno udało nam się w stanie wojennym.

Przez 16 miesięcy główna wasza robota to było, że naród się otworzył?

To jest raz i uczyliśmy się tej demokracji czyli tego bezpośredniego wyboru człowieka, którego znamy. Ja często dla przykładu mówię tak: takim naszym szefem był Rysiek Sawicki, myśmy z wielu rzeczy byli bardzo niezadowoleni, gdyby jeszcze ze dwa, trzy miesiące nie było stanu wojennego, to on by przestał być przewodniczącym, bo zadziałałaby demokracja. Niestety, nie wybralibyśmy go. I władza była naprawdę przestraszona, też dlatego, że na początku stanu wojennego stało się coś, czego nie było w Polsce.

Chodzi o strajki?

Raz, że bardzo dobre strajki i bardzo późno nas rozbili, bo dopiero 17 grudnia i to mieli trochę kłopotu. Można by nakręcić film, jak żeśmy przygotowali tę naszą cechownię, z siatkami osłonowymi, wojskowymi. Ale oprócz tego bardzo dobrze zadziałały wszystkie zakłady (nawet kobiety w ELPO czy DEFIL, taki mały zakład gitar). Wszystkie zakłady bardzo dobrze się spisały. Czyli ten solidaryzm w ludziach jednak się wykształcił. Może nie w masie, ale się wykształcił. I teraz stała się jeszcze jedna rzecz, straszna dla władzy. W lutym, czyli początek stanu wojennego, ktoś podłożył bombkę pod CPN. I ta bombka była profesjonalnie zrobiona i profesjonalnie zabezpieczona. I tutejsza władza dostała strasznie po kulach. Bo dostała od partii, od komitetu, ale dostali też od Ruskich. „Jak wy działaliście, jak dopuściliście, że na waszym terenie bomba? Takie strajki, tyle mamy kłopotu, itd.” I takie zadanie też miała ta bombka. To jest osobny temat, ja nie powinienem [go poruszać] mówiąc o sobie, ale to jest bardzo ważne, dlatego że pisze się różne książki i już jest troszeczkę zakłamania. Bo później powstał tzw. bombkarze, a tak naprawdę tę bombę podłożył Janek Kołodziej i Rysiek Szwed, i nikt nie mógł do nich dotrzeć. Ubecja nie wiedziała i dlatego później organizowali coś innego. To jest rzeczywiście osobny temat, jak ktoś się będzie interesował, to ja to znam [go] od podszewki. I oni zrobili to, co chcieli. Zastraszili... Przez trzy miesiące ZOMO w kamaszach spało. Ale musi być przekaz, że oni naprawdę zrobili to tak

fachowo, że ta bombka nie mogła wybuchnąć. Jeżeli [było zrobione] fachowo, to chłopaki chcieli pokazać władzy, że nie mają do czynienia z gówniarzami.

...profesjoniści.

Tak. Profesjonalnie zabezpieczyli. Bo Rysiek Szwed był kapitanem Wojska Polskiego. Przyszedł tu sobie z wojska do kopalni popracować. Uważam, że później dlatego była ta terapia wstrząsowa w sierpniu 82. Ale zaraz może jeszcze [do tego] dojdziemy.

Jak wyglądała Pana działalność opozycyjna po wprowadzeniu stanu wojennego? Jak rozumiem, ona się zmieniła, prawda?

Tak. Ja może jestem człowiekiem z wieloma wadami, ale dostałem zaufanie i odpowiadałem za sprawy informacji w Komitecie Strajkowym. Nawet mnie nazywano „suche fakty”, bo ja przekazywałem ludziom to, co podsłuchiwałem w radio. To trzeba było w odpowiedni sposób przekazać, żeby nie wywołać [paniki]. Na przykład wiadomości [o tym], że w kopalni Wujek zginęli ludzie, a tu mamy 3 tys. ludzi na [strajku], którzy też się chcieli zbroić. Trzeba było im przemówić, że nie ma sensu na karabiny iść z kilofem itd. I tak samo trzeba było umiejętnie sprzedać informację, powiedzieć, że zginęli górnicy, żeby nie sprowokować i za bardzo nie podnieść ciśnienia, ale jednak powiedzieć, żebyśmy mieli tę świadomość. Bo myśmy zaplanowali, że jak będą nas rozbijali, to przecież nie będziemy stali, jak będą do nas strzelali, tylko ustaliliśmy drogę wycofania. Ustaliliśmy, że wycofujemy się przez las i gromadzimy się w kościele w Polkowicach. I kilku z nas z tego Komitetu Strajkowego ustaliło, że do domu nie wracamy, bo wiadomo, co nas czeka.

Był Pan w ścisłym Komitecie Strajkowym?

Tak, tak! Tak, że myśmy sobie zdawali sprawę i myśmy zeszli do rzeczywistego podziemia.

Czy udało się Panu wyjść ze strajku nie złapanym, nie zatrzymanym?

Tak, tak! Wszystkim nam udało się [uciec] przez las: Paweł Kotlicki, Andrzej Poroszewski, Franek Kamiński, Grzesiek Laska, ja - Edek Woltański - i jeszcze taki Sabat (zapomniałem nazwiska, bo się go nie używa). Udaliśmy się do kościoła i poinformowaliśmy się, że każdy musi gdzieś tam w domu załatwić sprawy, poinformować, (nie iść do domu, ale jakoś poinformować) [rodzinę]. Jedni byli z Głogowa, inni z Polkowic, inni tu z Lubina. Ponieważ byłem bardziej operatywny, dostałem zadanie znaleźć chatę, jak to się mówi, znaleźć miejsce dla Komitetu Strajkowego, dla chłopaków z podziemia. I tak się stało. Spotkaliśmy się. Udało nam się spotkać w jednym miejscu. I właściwie naszym zadaniem było jak najszybciej coś napisać, odezwać się do ludzi.

Wydać jakiś komunikat?

Tak, przecież ludzie nie wiedzieli, co się stało. Nie wiadomo czy nas może gdzieś postrzelili, czy nas gdzieś drapnęli. Więc szybko napisaliśmy pierwszą ulotkę na maszynie, na takim papierze przebitkowym. Franek Kamiński pisał na maszynie, że jesteśmy, że was nie zostawiliśmy. I to, co powiedziałem: uważałem, że jak powiedziałem A, to muszę mówić B i C; odpowiedzialność za to, co się mówiło.

Dlatego ta odezwa, że jesteśmy, że dalej działamy, [że] Solidarność żyje, i [że] nie damy się. Zaczynamy działalność.

Jednym słowem zeszliście do podziemia, ukrywał się Pan.

Tak.

Jak długo się Pan ukrywał, gdzie się Pan ukrywał?

Ponieważ, mówię, ja byłem takim człowiekiem-lotnikiem, więc jeździłem, byłem takim wewnętrznym łącznikiem. Reszta chłopaków, jak było załatwione jakieś mieszkanie, to siedzieli w nim i koniec. Nie wolno im było się ruszać. Mieliśmy kłopoty z Grześkiem Laską, ale to też jest osobna, ciekawa historyjka. Musieliśmy go nawet sami uwięzić. No i dwudziestego ósmego, to też musiałbym opowiedzieć dosyć szczegółowo, bo to jest bardzo ciekawa historia, ale skrócę w ten sposób, że mnie przymknęli. No, drapnęli mnie. 28 grudnia.

I internowali Pana?

Nie. Aresztowali! Ja siedziałem tu na Traugutta w dołku. Przepis był taki, że w areszcie można [siedzieć] 7 dni, a mnie trzymali 15 dni. Wywieźli mnie na Świebodzką 13 stycznia.

Pod zarzutem...

Organizowania strajku. I wtedy była rozprawa. Oskarżyli mnie, Witka Majewskiego, Edka Rewersa, Edmunda Patrzałka, Janka Tabora. Pięciu nas było. Mieliśmy rozprawy sądowe. Było ich aż 13. Tak że jeździłem. Z Wrocławia mnie wozili do Legnicy. Dla mnie najgorsze katongi to były właśnie te jazdy, ponieważ w takiej suce, w tej więźniarce (to jest takie wąskie) wchodzi 18 osób. No i tak się składa, że ja nie palę papierosów, a tam wszyscy kopcili. Tak że jak wróciłem, to byłem pijany, nieprzytomny chociażby z tego powodu. Siedziałem wtedy z prof. Andrzejem Wiszniewskim - biedny musiał mnie doprowadzać do przytomności.

Czym się zakończyło to zatrzymanie i ta rozprawa?

W sumie po różnych odwołaniach, za strajki dostałem rok w zawieszeniu na trzy lata. Tak że ja wyszedłem na wolność. Pojechałem na Rudną. Na rozprawie sądowej była taka ciekawa historyjka, ponieważ dyrektor (nazywał się Januchta) nazwał mnie „mały Goebbels”. Sędzia (nazywał się Piotrowski) ciekawie się zachował, bo kilka razy zwracał mu uwagę, że to jest obrażanie. „I chociaż to jest oskarżony w tej sprawie, ale tu na tej sali można świadka oskarżyć.” A ten się upierał, że tak go nazywaliśmy. No sędzia zwrócił się do mnie, nie do obrońcy. Ja musiałem zdecydować, czyli wnieść sprawę ustnie. I sędzia się pyta, co ja na to. Przecież ja nigdy w życiu nie miałem do czynienia z milicją, a już tym bardziej w sądzie, czy w więzieniu. Ja mówię: „Proszę sądu. Nie będę się bawił w dziecinadę. Nie do mnie należą sądy.”. No i tak to się zakończyło. Jak wróciłem z więzienia na Rudną, też podstępem dostałem się do gabinetu dyrektora Januchty. Mówił, że absolutnie, dopóki tu jego noga, to ja tu pracy nie znajdę. No to ja mówię: „Już niedługo”. No i rzeczywiście, za tydzień zginął w wypadku samochodowym. Tak że nawet mówili, że ja go przekląłem. Nie, nie przekląłem. Nawet takie miałem historyjki.

Co Pan robił po wyjściu? Nie dostał Pan pracy...

Nie, pracy nie dostałem. Później się okazało, że miałem takiego „opiekuna”. Ryszard Przybyszewski - wcześniej był opiekunem Rudnej, a później takim moim opiekunem, i bardzo dbał o to, żebym nie dostał pracy. A przekonałem się o tym dopiero w 88 roku. Miałem pracownię w wieżowcu, na 11 piętrze. I w tym wieżowcu zachorowała dozorczyńni i ja troszeczkę podpuściłem ludzi, że zaczęli narzekać, że brudno, że to, że tamto... I wpadł mi taki pomysł, że mógłbym być cieciem, gospodarzem. Nie wstydzę

się sprzątać. Dlaczego? No i udało mi się. Miałem tutaj w spółdzielni trochę przyjaciół, którzy mi zresztą pomagali, żeby mi nie zabrali tej pracowni, jak siedziałem. No bo za wszelką cenę chcieli mi to zabrać. No i udało mi się. Wykorzystałem też [fakt], że Przybyszewski był gdzieś tam na jakimś urlopie, czy gdzieś, prezes był na urlopie, i udało mi się tak interwencyjnie załapać do pracy, do spółdzielni, na ciecia.

I długo Pan tam zagrzał?

Prawie dwa lata. Z tym, że w tym czasie znalazłem miejsce w gazecie, powstała taka gazeta...

W podziemnej oczywiście?

Nie, nie. Gazeta „Nowa”. W podziemnej to cały czas. Myśmy uważali Okrągły Stół za zdradę naszego narodu, za oszustwo, i Solidarność Walcząca cały czas [działała]. Kornel [Morawiecki] ujawnił się dopiero w 90 roku.

Czyli po wyjściu z aresztowania...

Ale wrócimy właśnie do 82 roku. To jest marzec. Po wyjściu z aresztowania, skontaktowałem się z chłopakami, bo musiałem im powiedzieć, jak, co, jak mają się zachować w razie wpadki, co oni wiedzą itd. Nawet [był] taki instruktarz – robiliśmy takie przesłuchania. Byłem zaufanym łącznikiem z Wrocławiem w Solidarności podziemnej. Załatwiałem też pewne sprawy, ale konkretnie zacząłem się zajmować pomocą charytatywną ludziom.

Czyli wtedy działała już jakaś gazeta, jakiś kolportaż miał miejsce?

Kolportaż to przede wszystkim, z dnia na dzień. No i wtedy chłopcy zaczęli robić nasze „Zagłębnie Miedziowe”.

Co było dalej? Sierpień 82. Druga rocznica Porozumień Sierpniowych...

No właśnie, zbliża się druga rocznica Porozumień. Ja miałem łączność z RKS-em i później, jak powstała Solidarność Walcząca, rozprowadzaliśmy ulotkę nawołującą do zademonstrowania, uczczenia drugiej rocznicy podpisania Porozumień. My, działacze, chcieliśmy zrobić taki test, na ile mamy tego solidaryzmu w ludziach.

Jakie macie poparcie...?

Poparcie, ale i ile solidaryzm? Na co można liczyć, do ilu mieszkań można dotrzeć, gdzie można rozprowadzać, ile tych ulotek można drukować? Jak ktoś się opowie, przyjdzie, to znaczy, że gdyby dostał ulotkę, no to weźmie. Nie wyrzuci, tylko weźmie, prawda? Czy rzuci się na jakąś pomoc ludziom represjonowanym. Więc myśmy tak traktowali. Ja byłem jak zwykle trochę takim pesymistą, bo ciężko było w tych kontaktach. Mi się wydawało, bałem się, że przyjdzie mało ludzi. Ja naprawdę, wszędzie mówię szczerze - bałem się. Bardzo się bałem, że... ale trzeba było takie doświadczenie zrobić. Tym bardziej, że obojętnie ilu [przyjdzie], ale uczcić trzeba, pokazać, że Solidarność jest! No i teraz [pytanie:] czy przyjdzie tylko Solidarność w tych działaczach, czy też społeczeństwo. No i byłem łącznikiem, robiłem to, robiłem tamto, więc głupotą by było, gdybym ja tam szedł, stanął i pokazywał swoją gębę, że wylazł z więzienia i...

No tak, bo to co było w zawieszeniu stałoby się...

To jest jedna sprawa. No ale, ułatwiać pracę esbekom? Powiem szczerze, że pierwsze momenty demonstracji oglądałem ze swojego okna w pracowni, bo miałem okno, [z

którego] było widać rynek. W tamtym roku ktoś tam w internecie odpisał na jakiś artykuł czy wywiad ze mną: „No jak, Wóltański był na demonstracji, co on tu bzdury gada, jak jego nie było w Lubinie.”. Bo co poniektórzy, jak dobrze czytają, to wiedzą, że ja byłem internowany. No i właśnie, nakaz internowania miałem 28-ego sierpnia. Mam inny dokument, który mówi, że 30 sierpnia, a tak naprawdę to drapnęli mnie dopiero 6 września. Przez te 6 dni ja wiele zdążyłem zrobić. Jak usłyszałem tę strzelaninę, zobaczyłem te dymy, to jednak myślę: „Nie no, trzeba pójść, tam się dzieją jakieś straszne rzeczy.”. Udałem się do rynku i między innymi widziałem, byłem świadkiem postrzelenia pana Stefanowicza, tj. tego, który na zdjęciach został z tym adidasem. 6 września mnie drapnęli, a to był poniedziałek, więc już mogę dojść, kiedy mogłem być u pani Trajkowskiej. Musiałem zgłosić urodzenie syna, bo co prawda Dominik mi się urodził 22 sierpnia, ale żona leżała w szpitalu, bo tam było trochę kłopotów. Widziała tych wszystkich zamordowanych i rannych ludzi. Jak mi się urodził syn, musiałem go zarejestrować w urzędzie miasta i tam właściwie się dowiedziałem o adresy zabitych; normalnie, z dowodów. Ja pierwszy udałem się do pani Trajkowskiej. Czyli, jeżeli szósty to był poniedziałek, piąty niedziela, czwarty..., to ja musiałem u niej być trzeciego. No, może czwartego. No, ale tu jest dowód na to, że byłem w tych kilku dniach. Dla mnie to było potężne wyzwanie, no, potężne, dlatego że ja się czułem organizatorem, a ci ludzie, jakby nie patrzyli na Solidarność, to jednak mieli żal, pretensje, że mąż, ojciec, zginął. Oni nawet uważali, że [to] po części przez nas. Gdybyśmy nie zorganizowali tej manifestacji - uważali - to nie zginęliby. I dotarcie do takiego człowieka było bardzo ciężkie. Ja się odważyłem, udało mi się. Byłem i u pani Trajkowskiej i u pani Adamowicz. U Poźniaków byliśmy troszkę później, o wiele później byliśmy. Dotarliśmy tam, ale z wielkimi kłopotami.

Dlatego że was nie dopuszczali?

Nie, nie mieliśmy możliwości, bo 6-tego internowali mnie i ja siedziałem w internacie do 14 grudnia. Tak że znowu była przerwa. Działo się w internatach. Tak że 6-tego września mnie drapnęli, właśnie pan Przybyszewski mnie drapnął, i to z windy. Nie pozwolił mi nawet wejść do mieszkania i okłamał mnie, że on powiadomi żonę, niby zaniósł brystol do domu, a tak naprawdę to nie zaniósł do domu, tylko wyrzucił na klatce schodowej, a żona dowiedziała się dopiero po dwóch miesiącach, dzięki prof. Andrzejowi Wiszniewskiemu. Przyjechał po nią i po syna, i przywiózł mi do Nysy, i dowiedziała się, że ja jestem w Nysie, bo przez dwa miesiące nie wiedziała. Była przyzwyczajona, bo ja w domu nie nocowałem. [Jak] wyszła ze szpitala, przywiozłem ją ukradkiem ze szpitala, bo ani taksówki nie jeździły, ani nic. Kazali mi zabrać żonę, a nie miałem czym. A poruszać się tu nie można było, bo nawet w dzień była godzina milicyjna. Taksówki nie jeździły. Mało kto to opisuje i nie zdajemy sobie sprawy, jak to tak naprawdę było. Miasto było zamknięte. Nie można było nigdzie wyjechać ani wjechać. Najlepszym obrazem jest [to], że nawet taksówka nie mogła jeździć. Już nie mówię o autobusach. Ja ją przywiozłem ukradkiem, taka pani doktor weterynarii maluchem ukradkiem przywiozła żonę do domu.

Gdzie Pan był internowany?

Wywieźli mnie do Nysy - tzw. Nysa II. Bo Nysa I była do sierpnia. I tam z tej racji, [że] jestem [plastykiem] wziąłem się za robienie znaczków, drukowałem, [robiłem] różne pieczątki, pisało się transparenciki, chusty, wszystko co [z tym] związane. No i walczyliśmy tam, śpiewaliśmy, wystawiliśmy transparent Solidarność, a tam na wałach gromadzili się ludzie, palili świeczki, śpiewali z nami. Straż więzienna walczyła z nami, myśmy sypali sól albo grzaliśmy gorącą wodę i laliśmy na nich. Walczyliśmy o to, aby ten transparent, który się robiło prawie krwawicą, wisiał jak najdłużej. Bo z czego tu

zrobić i napisać na czerwono. Mało kto wie, że nawet krwią się pisało. Tak że wiadomo, w internacie ja takie rzeczy robiłem. I pewnego dnia był kipisz, nalot i 18 osób wywieźli. Chcieli nam nie powiedzieć, gdzie nas wiozą, myśmy się bali, że nas wywiozą gdzieś do Uherc albo gdzieś tam, nie wiadomo gdzie. Teraz człowiek o tym opowiada z uśmiechem, ale wtedy nie wiedzieliśmy, co ta władza kombinuje dla takiej swoloczy jak my. Powiedzieliśmy im, że jak nam nie powiedzą, gdzie jedziemy..., (oni dobrze wiedzieli), bo nas złodzieje pouczyli, że możemy nie dojechać. Jak 18 osób ściśniętych rozkołysze taką stonkę, to możemy spowodować przewrotkę. I nie dojedziemy i już! I oni o tym wiedzieli, i w końcu nam powiedzieli, że nas wiozą do Strzelina. To było o 12 w nocy, w pół do pierwszej. Tam w Strzelinie urządzili nam taką ścieżkę zdrowia, przepędzili nas wśród psów i pał. No i nas zakwaterowali na takim piętrze, które było do remontu. Nawet złodzieje nie mogli tam siedzieć, bo przepisy nie pozwalały, ale nas tam zakwaterowali. Później siedziałem tam w Strzelinie. Tam też walczyłem o swoje prawa, głodówka, bo tam Jurek Gneciak prowadził głodówkę. Ja się nim opiekowałem. Ale też walczyliśmy o bardzo elementarne rzeczy, o światło, że powinno być odpowiednie. Breźniew kipnął, to chcieliśmy oglądać dziennik. Nie pozwolono nam. Takie różne rzeczy. Spędziłem tam jakiś czas, już nie pamiętam, w każdym razie, chyba 9 osób, karnie przewieźli nas do Grodkowa. No i w Grodkowie zakończyłem swoje bytności internowanie 14-tego grudnia. Jak człowiek się często myli. Ja zawsze pamiętałem, że 19-tego, a teraz, jak byłem na takiej rocznicy - wmurowanie płyty przy więzieniu w Grodkowie - to okazuje się, że Grodków był rozwiązany 14-tego. No to przyjmuję, że byłem zwolniony 14-tego. W każdym razie wróciłem do Lubina i znowu tutaj kontakty i była działalność, przede wszystkim charytatywna. No i łącznik i tak dalej. Wtedy, zaraz w styczniu usłyszałem o księdzu Jerzym [Popiełuszce] i pojechaliśmy z kolegą do księdza Jerzego do Warszawy i później już właściwie co miesiąc jeździliśmy.

Na msze za Ojczyznę?

Tak. I to był w ogóle dość istotny kontakt z Warszawą. Oczywiście, jeździliśmy z kolegą nieoficjalnie. Nie tak, że na dworzec się szło. Myśmy potrafili piechotą iść tu na taką pipidówkę, gdzie stawał ten zwykły pociąg, który jechał do Głogowa, bo dopiero od Głogowa był ten warszawski. Nie, on dwa wagony miał warszawskie z Legnicy. W różny sposób się jeździło. Znałem osobiście księdza Jerzego, mówię nawet w ten sposób, że to był mój przyjaciel. Myśmy byli jego przyjaciółmi, bo bardzo się cieszył, że górnicy, zawsze reprezentowaliśmy górników. Jest pełno naszych zdjęć, transparentów. Zawsze zawoziło się tam transparent „Górnicy z Lubina”, „Solidarność Lubin”.

Wspominał Pan o pracy przy dystrybucji pomocy charytatywnej...

A tak. Ja u siebie w pracowni zrobiłem magazyn i to, co się zwoziło z Wrocławia, czy tak jak Edek [Wertka] wspominał, myśmy rozsyłali w różne zagraniczne ośrodki, [na różne] adresy. Kontaktowali się z nami tacy bardzo fajni państwo Ozimkowie z Francji. Właśnie Komitetowi z Pivnej to się przyda, jak myśmy tu pracowali, bo nigdy tak naprawdę o tym nie mówiłem. Przywozili nam rzeczy i właściwie składowali u mnie w pracowni. Tu następował podział. Na przykład dla nich to była łatwa praca, bo dali nam worek mąki, a my musieliśmy tu rozdzielać. Dali nam takie kostki masła - były dziesięciokilowe - no to trzeba było tutaj [rozdzielić]. I trzeba było trzymać w wannie, w wodzie. Z Edekim rozmawialiśmy o tych złościwościach. To nawet ludzie potrafili mówić- „o, Edek trzyma masło w wannie, taki zachłanny jest”. Albo paczki, że ma paczki. Posądzano mnie o różne rzeczy, i o pieniądze... To był ciężki kawałek chleba, jak to się mówi. Ale dlaczego mówię o czymś, o czym nie mówiłem jeszcze do tej pory? [Może mówiłem] gdzieś, komuś, ale to nigdzie nie było zapisane. Bo sześć lat byłem na bezrobociu i „jak to ten Edek sobie poradził”. I jeszcze dwoje dzieci, a w 84 urodziła mi się jeszcze córka.

Czyli mam troje dzieci. Otóż, jakiś obrazek gdzieś się tak kiedyś sprzedawało. No i ludzie byli solidarni i zawsze tam jakoś pomogli. Bidowało się. Ale też przykład z tym państwem Ozimkami. Przyznam się, że głupio mi było cokolwiek brać, bo łatwiej się bierze dla kogoś, a dla siebie to ciężiej. I nieraz mówię: „A może bym tak skoczył, może byście mi jakąś pracę załatwili na dwa, trzy miesiące. Wtedy wiedziałbym, że to jest moje, że zapracowałem.”. I wtedy wpadliśmy na pomysł. Bo ja się ich spytałem, skąd oni biorą te towary i nam przywożą? Oni mówią, że składają się, sprzedają jakieś pamiątki, drobnostki, jak coś sprzedają, to się zbiera jakiś fundusz i kupują towary, i przywożą nam tutaj. To ja mówię, „to dobrze, to ja się do tego dołożę”. Ja miałem pełno takich obrazków, większych mniejszych, bo ja i zajmowałem się czekankami. Czekanka to jest intarsja w miedzi z takich kolorowych drewniaków, takie różne małe duperełki. To ja mówię: „To ja wam dam swoje obrazki, wy tam sprzedacie, za te pieniądze towar przywieziecie, to ja będę mógł rzeczywiście korzystać z czystym sumieniem, nie obciążając nikogo.”. No i tam właśnie doszło do czegoś takiego. Oni mówią: „Dobra, oczywiście, bardzo chętnie.”. Wzięli to, ale z tym, że „jedna trzecia to my ci płacimy, przywieziemy ci franki, dwie trzecie to będzie na te paczki dla tych, co tutaj rozdajesz”. No i ja wtedy, pierwszy raz w życiu, miałem obcą walutę. Franki miałem.

Przez ile lat utrzymywał się Pan w ten sposób?

Ja do 1988 roku nie pracowałem. Z nimi to może było ze trzy, cztery razy. Oni rzadko przyjeżdżali. No, ale zawsze była konkretna pomoc. To jest jedna rzecz, a druga - poznałem księdza Jerzego, ale też wpadłem. Następną wpadkę miałem 23 kwietnia 83 roku. Wtedy, kiedy drapnęli Pinióra.

I pod jakim zarzutem wtedy Pana zatrzymano?

Drapnęli mnie, obserwowali mnie, ponieważ Piniór ukrywał się w oficynie domu, gdzie mieszkają moi teściowie. I oni mnie obserwowali, widocznie wlałem im w obiektyw, a zdjęli mnie w autobusie, jak jechałem już do Lubina z plecakiem, z ziemniakami. Teściu mi dał ziemniaki i jakieś takie różne inne pierdoły, ale miałem też taką paczuszkę, siateczkę, w której były konkretne rzeczy - prasa i różne takie rzeczy. Wiedziałem, w którym miejscu mnie obserwowali, więc jak mnie przesłuchiwali, miałem komfort, że mogłem mówić prawdę. I byłem zmuszony, bo wiedziałem, że o tym wiedzą, ale ta prawda, ona nikomu nie szkodziła, bo ja nie miałem kontaktu z Jóźkiem. Mogłem mówić takie podstawowe rzeczy, oczywiście, nie do końca i nie wszystko. Ja się wyparłem tej paczki, „ja znalazłem” itd. Oni byli tak zaszokowani, że nawet potrafili ziemniaki kroić na pół, bo się zastanawiali, co ja tam mogę mieć. No, ale dlaczego tak o tym mówię? Ponieważ ja wtedy pierwszy raz rzeczywiście dostałem. Mogłem mówić prawdę, a im to nie pasowało. Nie pasowało im do scenariusza. Jak ja mówiłem: „Co Pan mi tu głupoty gada, tam takiego numeru nie ma.”. Jeden siedział, a dwóch chodziło. I jak mi jeden z pięści, z boku, to mi wtedy rzeczywiście powybijali zęby, skopali mnie, troszeczkę mi naruszyli kiszkę stolicową, że ileś tam, z miesiąc, nie mogłem się załatwić, czy nawet więcej. Pobili mnie dosyć mocno. Właściwie przesłuchiwali mnie od godziny pół do dziesiątej, (bo zdjęli mnie o godzinie 9 [i] zawieźli) gdzieś grubo po 20 mnie wrzucili do celi. Cella mała, dwuosobowa, dwa pudła stały. Na jednym pudle leżał dyrektor gorzelni ze Strzelina za jakieś przekręty ziemniaczane, a na drugim pudle chłopaczek, który piąty raz chciał przekroczyć granicę niemiecką. Między tymi pudłami było tak mało miejsca, że ja się nie mogłem położyć. Pudła się kończą i zaczyna się taki cement i kibełek. Tak że nogi włożyłem między te pudła, dali taką pałatkę, czy koc, i tak się przespałem, prawie że, jak to się mówi, z głową w kibelku. I rano budzą. I tam pierwszy raz się spotkałem [z tym], że nie było po nazwiskach, tylko numery. No i jakiś tam krzyczy numer. Mi te chłopaki mówią, że „to chyba o ciebie chodzi, tu nie ma nazwisk,

tylko numery”. No i przyszedł taki dobry wujek - ubek - i grzecznie się pyta: „Czy mógłby mi Pan odpowiedzieć na kilka pytań, bo muszę Panu zadać kilka pytań, bo jestem w pracy i muszę”. Ja jestem zawsze grzeczny w takich wypadkach i mówię: „Pan mi może zawsze zadać pytania, tylko ja nie ręcę za wartość odpowiedzi, bo jestem w niedyspozycji”. On mówi: „Jak to, co się stało?”. Nie dowierzał. Ja mówię: „Jakby Pan taki oklep dostał przez cały dzień i przespał się z głową w kibelku, to też nie mógłby Pan odpowiadać za sens swoich wypowiedzi”. „No, ale ja i tak muszę...” No to herbatę, bo zimno było, chociaż to 23 kwietnia, 24, bo to już następny dzień. Zimno było, bo to w piwnicach. Ja mówię: „no dobra”. Polazłem z nim na górę. A po drodze, (wszystkim to mówię), była taka ciekawa historyjka. Na pierwszym piętrze między drzwiami, na wysokości schodów, stał taki kamienny postument, takie jakby popiersie, tylko takie dziwne: wąskie i szyja też wąska, z otworem. Widocznie to był taki kamień, w który wkładano flagę. Na pewno niemiecką, faszystowską, ponieważ na tej piersi była wykuta w tym kamieniu swastyka. A ci komuniści z ubecji zamalowali to na białe. No idioci, bo biel jeszcze bardziej uwypukla! Biel rzeźbi każdą rzecz. I już tam idziemy i mówię, a miałem dosyć humor, i mówię: „Teraz już wiem, dlaczego tak pracujecie, bo pod takim znakiem pracujecie”. „A o co chodzi?” Ja mówię: „no, pod swastyką”. „Jaką swastyką???” On mówi, że tyle chodził i nie widział tego. Ale wziął mnie na tę górę, postawił herbatę...

Rzecz się dzieje w Lubinie?

Nie, nie, we Wrocławiu. Bo mnie zwinęli w Środzie, a zawieźli z powrotem na Muzealną, czyli na Łąkową, jakby to zamknąć w kwadrat, do głównego aresztu śledczego, obok Świebodzkiego. Tam się to dzieje. Wtedy ten dobry wujek ubek mówi, żeby mnie tak zmobilizować do rozmowy, a jednocześnie pokazać, jaki ja jestem malutki, no bo oni wszystko o mnie wiedzą, proszę sobie wyobrazić, informuje mnie, że „nie ma Pan co kłamać, bo my i tak wszystko o Panu wiemy, tylko pro forma musimy tego...”. Nie wiem jak to zaczął, ale mówi: „Pana ojciec siedział kiedyś w więzieniu?”. Ja mówię: „Ojciec? No! No chyba że...”. A on nie czekał, żebym się męczył, tylko mówi: „No jak, a za deski nie siedział?”. [I] powiedział coś takiego, czego nie opowiadałem, ale nie sposób do tego nie wracać. No więc w piątej klasie liceum, to były takie czasy, kiedy po szkołach chodzili tzw. religioznawcy. To był taki sekretarz, który przychodził i chrząnił różne głupoty. No i sąsiednia klasa nam powiedziała, że będzie taki, więc myśmy się z ojcem Sroką przygotowali. Poprosiliśmy ojca Srokę, żeby nam pomógł. Myśmy się przygotowali tak solidnie z różnymi pytaniami, że jak siedliśmy z tym religioznawcą, jak wzięliśmy go w krzyżowy ogień pytań o czasoprzestrzeni, o różnych takich sprawach, to facet, tak nie daliśmy mu spokoju, tak się zdenerwował, że uciekł z klasy. A nasza wychowawczyni, pani Wandzia Tanczanowska, taka już świętej pamięci staruszka, siedziała z tyłu. I on uciekł. I za chwilę przylatuje z taką świętej pamięci dyrektorką Lipską, taka czerwona i wrzeszczy, że tego, co my tu robimy, że wyrzuciliśmy pana z klasy, i jak my się zachowujemy. A myśmy od razu wiedzieli o co chodzi, więc mówimy, że myśmy tylko zadawali pytania i pan nas obraził, i wyszedł. No i że nie mamy co przystępować do matury, bo nie zdamy itd. No, taki incydent. Proszę sobie wyobrazić, że ten facet mi o tym powiedział. Czyli nawet takie rzeczy mieli o człowieku, takie dwie rzeczy. Czyli jego zadaniem było pokazać mi - „Edek, no co ty, przecież my i tak wszystko wiemy o tobie w szczegółach, no, ale wiesz...”. Oczywiście ta rozmowa była bardziej o światopoglądzie, bo ja tam zawsze starałem się przejść na swojego konika. Ja zawsze od strony wiary, od strony zainteresowania itd. To siedzenie było też krótkie, dlatego że, proszę sobie przypomnieć, zaraz do nas przyleciał papież. I był właśnie we Wrocławiu. Takie mieliśmy kłopoty, że pięć dni siedzieliśmy nawet bez spacernika. Nie wypuszczano nas nawet na spacernik i wtedy założono blindy. Nawet nieba nie

możliśmy oglądać, bo pewnie byśmy zobaczyli helikopter papieża, prawda? No i jak papież odjechał, to była amnestia, no i ja wyszedłem z amnestii.

Czyli ile w sumie...

Tam byłem w sumie też trzy miesiące: 23 kwietnia do czerwca.

Czyli wtedy sprawę umorzono?

Tak, tak. Wtedy mnie wziął pod opiekę Rossa, bo oczywiście znowu szybko zadziałał Andrzej Wiszniewski. Ale do rozprawy sądowej nie doszło, ponieważ była amnestia. No i to jest sprawa siedzenia. To jeszcze nie koniec. I później jeździmy do księdza Jerzego i później jeszcze mnie drapnęli. Miałem tutaj taki incydent. Miałem taką młodzież, ponieważ ja w pracowni miałem bibliotekę książki niezależnej i młodzież przychodziła i wypożyczała. Nawet sami sobie robili, kartotekę prowadzili, ja im to oddałem. No i chłopak poszedł do wojska i znaleźli taki list, i zrobili tu kipsisz, i prześwietlili mnie w tym tygodniu, kiedy księdza Jerzego nie było, czyli w tym tygodniu przed 19. W każdym razie tydzień czasu nie wiedzieliśmy co jest z księdzem Jerzym. No i oni właśnie wtedy mnie drapnęli. Wtedy, proszę sobie wyobrazić, zawieźli mnie do Gliwic i przesłuchiwał mnie pułkownik kontrwywiadu. Sam się przedstawił. Dostyc to było takie śmieszne przesłuchanie, bo tam mnie trzech przesłuchiwało. Ten pułkownik kontrwywiadu na końcu, takie przesłuchanie podsumowujące. I on mi tam proponował, można powiedzieć, współpracę. W jaki sposób? Taki dobrotliwy. Już kończyliśmy rozmowę, on napisał na karteczce numer telefonu. Tak siedzimy, on mi podsuwa i mówi: „Panie Edwardzie, nam zależy, żeby znaleźć księdza Jerzego, Panu zależy, żeby się odnalazł, cokolwiek by Pan wiedział, proszę tu na ten adres... Jurek, proszę powiedzieć pana Jurka.”. Oddałem mu z powrotem tę kartkę i mówię: „Proszę Pana, naprawdę, ja Panu wszystko, co wiedziałem, powiedziałem. A tak między nami mówiąc, Pan przecież dobrze wie, że wy wiecie wszystko i lepiej niż ja. Tak że naprawdę, dziękuję, ale nie mogę skorzystać z tego telefonu, bo się nigdy nie umówimy.”. Tak że taka była próbka. Całe szczęście, że nie wziąłem tego telefonu.

To było zatrzymanie na 48 godzin, czy też jakiś areszt?

Nie, to mnie wypuścili po przesłuchaniu, z tym że też mnie maglowali... Jedni mówią, że byli ileś tam razy na 48. Mnie nigdy nie drapnęli na takie zwykłe 48, dlatego że ja nigdy nie spałem w domu przed 1 majem, przed 3 majem, czy nawet, jak co roku organizowało się msze za poległych. Profilaktycznie. Po pierwsze, miałem pracownię. Co miesiąc jeździłem na msze za Ojczyznę. Rozprowadzałem nagrania. Ja mam wszystkie kazania księdza Jerzego. Ja tam jeździłem, dostawałem akredytacje dziennikarską. Mogłem robić zdjęcia, robiłem zdjęcia. Dostawaliśmy materiały. To trzeba było tu rozprowadzić. To były dosyć ciężkie momenty, łapali nas na tych marszach. Mnie raz drapnęli i proszę sobie wyobrazić, że Przybyszewski tam był, i mówi: „A, ten to tam...”. I mnie wygonił. Albo też w 87 roku, jak wmurowaliśmy tu w kościele tablicę i miał przyjechać na mszę Frasniniuk. Zawsze przed jakąś uroczystością malowałem bardzo dużo transparentów. W 86 roku założyłem duszpasterstwo ludzi pracy.

Przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa?

Nie, Kolbego. Urządzaliśmy tygodnie kultury chrześcijańskiej. Oprócz tego bardzo dużo różnych działań. Ja organizowałem spotkania, ściągałem tu ludzi, pięćdziesięciu kilku ludzi takich jak Gwiazda, Morawiecki, Walentyłowicz, Kropiwnicki, Lenkiewicz. Nawet Kuronia tu przywoziłem. I 87 rok był taki dosyć istotny, bo wtedy mi groziło bardzo dużo. Tak jak mówię, często pisało się transparenty, bo przecież wszystkie transparenty, to ja

robiłem. No i siedzę sobie w 87 roku przez 31 sierpnia. Siedzę, piszę jakiś transparent. Działalność w duszpasterstwie to ja organizowałem. Nawet pod takim kątem, że zawsze [układałem] słowo wstępne zgodnie z kartką historii, jaka była w tym miesiącu. Układałem też modlitwę wiernych. No i w tym 87 roku piszę ten transparent, przypomniałem sobie, że umówiłem się z ludźmi w salkach, żeby im dać modlitwę wiernych, żeby się nauczyli, żeby jutro się nie jękali. No i zostawiłem wszystko... I jeszcze muszę coś powiedzieć, że ja miałem taką maszynkę do podsłuchiwania ubecji, taki przyrządzik. I miałem go podłączonego pod radio. Jak malowałem, to sobie słuchałem, co się dzieje na mieście, gdzie się poruszają itd. No i przypomniałem sobie, że muszę lecieć, więc to wszystko tylko zamknąłem. Nawet radia nie zgasilem z tego rozpędu. Przychodzę tutaj do salek no i czekam, czekam. Przychodzi taki Krzysiek Korycki, obecnie nauczyciel historii, przychodzi żona Janka Madeja, ja się denerwuję, że jeszcze ludzi nie ma, że chłopaków nie ma, a ona mówi: „O, Janek wyjechał.”. A ja myślę: „O kurczę, ten Janek zawsze musi w to lubelskie wyjeżdżać wtedy, kiedy tego...”. Ona się śmieje i mówi: „Nie no, wyjechał na Traugutta.”. Traugutta to jest milicja. Ja sobie uświadomiłem, że to jest już 48 godzin do 31-ego i go drapnęli. No dobra, jeszcze chwilę poczekaliśmy, porozdawałem te [modlitwy] i Krzysiek Korycki pyta, czy mam jakieś ulotki. Bo to młody student, chłopak po studiach, to był chłonny. Ja mówię: „Mam, jak chcesz, to chodź”. Ale on pyta, czy tam ich nie będzie. Ja mówię: „Jak będą, to będzie śmierdziało. Jakoś sobie poradzimy.”. I rzeczywiście, idziemy, ja nie zauważyłem, wchodzimy do bloku, wyjeżdżamy windą do góry, wychodzę z windy, trzeba jeszcze wejść jedno piętro na jedenaste. Stawiam pierwszy krok na schodek i czuję, że ktoś na mnie patrzy. Tak kątem patrzę, a tam stoi...

Przybyszewski...?

Nie Przybyszewski, już jakieś młode łebki – ubeczki. Młode, bo zaraz powiem, o co chodzi. Myślę, o kurde Felek, no ładnie! Co tu teraz zrobić? Cofać się? Uciekać nie ma sensu, bo na dole jest tylko jedno wyjście, na pewno są, no to drapną. I daję drugi krok, pokonuję te schodki i myślę, co tu zrobić. Ja mam pracownię po lewej stronie, a po prawej mieszka była dozorczyń, której matka, starszka handlowała wódką. I wszyscy o tym wiedzieli, ubecy też. Więc wpadłem na taki pomysł, że nie skręcam do siebie. No gdzie, wejdę i co? Przecież tam jest ta maszynka - podsłuch, transparent, który jeszcze nie wysechł itd. I wpadł mi taki pomysł, że skręcam w prawo i tak głośno komentuję, udaję, że oni mnie nie obchodzą, i mówię: „Wiesz Krzysiek, może dzisiaj nie pijemy, bo co tam, cholera, ja się źle czuję.”. On nas puścił. Ja patrzę, na drugiej flance widzę drugiego. Puścił. Patrzy na nas. Myśmy zawrócili i schodzimy z powrotem. Tak mi tu włosy tego! Myślę: Na pewno gamoń mnie nie poznał, ale może dojrzeć i da znak temu na dole.”. To już nie czekaliśmy na tę windę, bo każdy ułamek sekundy był ważny, ale nacisnąłem windę i mówię: „Chodź, schodzimy”. I schodzimy te dziesięć pięter na piechotę i wszędzie wciskaliśmy windę, żeby jak najdłużej jechała, żebyśmy zdążyli. Bo jeżeli ten zadzwonił po tamtego, nie wiem, tak szybko różne rzeczy człowiekowi przychodziły [do głowy]. I tak schodzimy, schodzimy, a z boku jest też druga winda i okno przy windzie i tam taka metalowa barierka. I ja mówię: „Krzysiek ja walę prosto, a ty uciekaj, gdzie możesz!”. Schodzimy, a tu w korytarzyku przy tej małej windzie stoi taki syn dawnego milicjanta, klusownik. Ja go znałem, różne historie z nim miałem. I naprzeciw niego stoi facet tyłem do nas. To ja już nie mogę tam iść. Więc mówię: „Krzysiek, ty w prawo, a ja wypadam pomiędzy samochody. Żebyśmy nie razem. Swoją ścieżkę gdzieś tam znajdę, bo na pewno gdzieś tam stoją.”. No i tak zrobiliśmy. Ja uciekłem do następnego wieżowca, do znajomych, do Jacka Sakonia. Obserwowałem z dziewiątego piętra i dopiero zobaczyłem, że rzeczywiście stoi czarna wołga. Wysłaliśmy do mnie do domu jego mamę, pod jakimś pretekstem. Okazało się, że pod domem

stoją, pod pracownią stoją. Proszę sobie wyobrazić, że przez trzy dni stali. A o co chodzi? Okazało się, że była panika. Ja tam zanocowałem. Na drugi dzień przyszedł kolega, nie wiem, może intuicyjnie przyszedł, na wszelki wypadek. Pomyślał, że mogę tam być. I mówi, że byli w spółdzielni mieszkaniowej, ubecja była, i kazali przygotować konserwatora, że będą się włamywać do pracowni. To ja rzeczywiście nabrałem strachu, bo myślę, że jak mnie z tym złapią, to nie tylko polityczny, [ale] mogą mnie o różne rzeczy [oskarżyć]. A nawet o co? Podsluchiwanie to już jest kontrwywiad. No właśnie, to już jest bardzo poważny artykuł. No i spanikowałem i myślę, że muszę wyjechać z Lubina. Wyjechałem co prawda do Polkowic, ale sprawdzałem. Mam kolegę w tym bloku, dzwoniłem, żeby żona weszła do suszarni, niby z praniem. W każdym razie - trzy dni stali pod pracownią. A ja i tak na tym byłem. Tutaj niech sobie pilnują, jakoś tam ucieknę. A po drugie, to oni się tak naprawdę bali kogoś brać w tłumie. Pojechali do Legnicy i chyba nie uzyskali pozwolenia, i nie włamywali się.

Pan wspominał, że znalazł się Pan w szeregach Solidarności Walczącej?

Ale jeszcze muszą wrócić do tej pracowni, ponieważ to też jest ewenement. Ja w tej pracowni zrobiłem sobie takie muzeum, drukarnię. Jak się kończą wieżowce, to jest taka część wentylacyjna, takie malutkie okieneczka, co to gołębie tam... Musiałbym pokazać jakiś wieżowiec, to widać, że jest taka nadbudówka. Jak wróciłem pierwszy raz z więzienia, to mi zalało w pracowni, miałem taką rurę w rogu, i zalało mi. Zrobiło się takie brązowe. Ja chciałem sobie odmalować, zacząłem dotykać i okazało się, że jest tam styropian. Wyrwałem ten styropian, okazało się, że jest dziura, nieduża, ale dziura. Wsadziłem lusterko, zobaczyłem, że jest bardzo duża przestrzeń. Wykułem taką dużą płytę betonową, taki otwór żeby się zmieścił. Wlałem tam, okazało się, że jest przestrzeń, przedzielona tylko takimi przerywanymi cegielkami i tylko powykładana wata szklana jako ocieplenie. Ja posprzątałem jedną część i nad swoją częścią pracowni wyczyściłem. Naściągałem dywanów, firan, wygłuszyłem, doprowadziłem prąd i tam rzeczywiście zrobiłem sobie drukarnię. Tam normalnie chodził powielacz. I miałem takie zdarzenie, że przyszli. Ja miałem otwarte, ja normalnie nic takiego tu nie miałem, ale malowałem, robiłem czekanki, jak w pracowni. Robili rewizje, a powielacz chodził. Bo oczywiście ten otwór zabudowałem taką, jakby to powiedzieć, meblościaną. Oczywiście z takimi segmentami, że je wysuwałem i wchodziłem. Tak że przyszedł. Absolutnie, nic nie było. Jak złazłem, za każdym razem zasuwalem, tak że pełne bezpieczeństwo, tylko że nie wyłączyłem powielacza. Miałem elektryczny. Chodził, ulotki drukowały się. A oni mi robili rewizję. Tej pracowni nie mam. Już w tych czasach pseudo-wolnych, w 96 roku, zabrali mi tę pracownię pod różnymi pretekstami. Prezes chciał mieszkanie dla syna. I niby prosiłem o pomoc naszego prezydenta, że jest jedyna szansa, może nawet w Polsce, aby zrobić takie mini muzeum stanu wojennego. No bo nikt swojego mieszkania nie przeznaczy. W wielu mieszkaniach się robiło, ale nikt mieszkania nie przeznaczy na muzeum, bo człowiek musi mieszkać. A ja pracownię mogłem... I mówię: „Pomóżcie mi! Ja zrobię muzeum, dzieciaki będą przychodziły, będą widziały, jak autentycznie robiło się na ramkach, jak wygląda nadajnik - bo próbowaliśmy nadawać radio - jak się podsluchiwało, jak się nadawało, jak się malowało, jak się wypożyczało podziemne książki.”. Ja tam też robiłem filmy, wyświetlaliśmy z półki w 80 latach. Tam życie było. Autentyczne mini muzeum stanu wojennego. No i nie udało mi się wywalczyć, no i niestety, nie mam tego. Bo mam największe archiwum, jakie może być. Ja tu robiłem różne wystawy. Do mnie wszyscy przychodzą, jak coś trzeba. Ja mam nawet rękopisy, telefaksy ze strajków, takie dokumenty. Tym się zajmowałem. Przede wszystkim byłem pierwszy, który robił zdjęcia z tych zajęć. Zdjęcia tzw. Krzyśka Raczkowiaka, to jest cała historia. To jest wielkie nieporozumienie, to jest wielka nieuczciwość. Ja miałem pretensje, że on nas obraża, bo on mówi, że dzięki takiemu

wydawnictwu w Niemczech zdjęcia ujrzały światło dzienne, że on wywiózł ten negatyw za granicę. Schetyna mówi, że on wywiózł do Kanady. Wszyscy oni wywozili, a Edek Wóltański te zdjęcia, odbitki, robił. Bo ja miałem tam też ciemnię. Ja robiłem te odbitki z papieru. Ile miałem papieru, tyle się robiło, i rozdawało się za darmo. A później ci Frasyniukowcy przejęli ten negatyw. Bo myśmy ustalili tak, że ja wyrobiłem, ile miałem, dałem negatyw Wieškowi Pawłowskiemu, bo on też miał, robił ile tylko wyrobił, przekazał dalej takiemu Ryškowi z Głogowa, on wyrobił i w pewnym momencie ten negatyw nam znikł. Straciliśmy go z pola widzenia. I za jakieś 2-3 miesiące pokazały się zbiorki, właśnie ci Frasyniukowcy wydali, Tadek Cieślak i inni. I taki zbiorek sprzedawali już po 600 zł, a później po 900. Ja zrobiłem w sicie to zdjęcie, jak niosą Adamowicza. Tak że mam odbitki z sita. Bo mnie zależało, aby jak najwięcej rozpropagować, żeby ludzie widzieli, co było. A ten mówi, że dzięki niemu. Ja mówię: „Krzysiek, no kłamiesz. Przecież mówiłem, w jaki sposób ja zdobyłem ten negatyw, od kogo, przecież ja nie ukrywam. Od Jolki Kotlickiej. Ty się bałeś nawet robić zdjęcia, jak córka Pawła Kotlickiego szła do komunii. Ty się bałeś, bo to jest córka opozycjonisty.”. Ja się pytam: „Skąd ja miałem ten negatyw?”. A on mówi: „To widocznie miałeś kopię.”. To ja mówię: „To ile tych kopii zrobiłeś? Jedną ja miałem. Zaraz jak mnie internowali, 6 września, ja już widziałem zdjęcia, bo mi pokazywali na milicji. Pokazywali mi to, co ja tutaj robiłem.”. Ja im powiedziałem, że mylili się. Ja chciałbym tam być, ale mnie tam nie było. Ale w ten sposób widziałem, że oni też mieli te zdjęcia. Ja mówię: „Jedną kopię ja miałem, jedną milicjanci, a jedną ty wywoziłeś do Niemiec? Tak? I dzięki Niemcom rozpropagowaliśmy?”. To jest nieuczciwa sprawa. Krzysiek miał po prostu legitymację, on pracował w „Konkretach”, to był kiedyś taki tygodnik partyjny. I on tam pracował, miał legitymację i mógł robić takie zdjęcia. Ale to jest też osobna historia. Jest to coś, z czym się nie zgadzam, głośno krzyczę i mówią, że jestem wariat.

Które z represji uznałby Pan za najbardziej uciążliwe, za najcięższe? Czy więzienie, czy ukrywanie się, czy niemożność znalezienia pracy?

To wszystko zależy dla kogo. Acha, dla mnie? Ja wszędzie widziałem wartość. A trzeba jeszcze powiedzieć coś takiego. Jak pierwszy raz siedziałem, właśnie za strajki, to oni dla Solidarności zrobili jeden oddział. I tak naprawdę to jeszcze większą solidarność zrobili, bo myśmy się tam poznawali z wielu terenów. Już się kapnęli i jak siedziałem drugi raz w kwietniu, to już dbali o to, by jednego z Solidarności dawać do trzech złodziei. Bo tam cele były czteroosobowe. I któregoś dnia przyszli mnie przesłuchiwać ci ubecy i pytają: „Panie Edwardzie, jak Pan wytrzymuje z tymi złodziejami, bandziorami, to, tamto...”. Ja mówię: „Wie Pan co? Naprawdę chciałem wam podziękować. Nic lepszego nie mogliście mi w życiu zrobić. No naprawdę, tyle miałem możliwości nauczyć tych ludzi, a tyle miałem możliwości nauczyć się od nich, że to jest naprawdę doskonała szkoła.”. Tak że różnie można do tego podchodzić. Ja byłem taki niby ostry, ale też byłem przeciwnikiem jakichś takich wariactw typu - na przykład psucie zamków, denerwowanie tych klawiszów. No po co? Po co wszystko robić? Aby tam być jak najdłużej? My bardziej byliśmy potrzebni tu, na pseudo-wolności, bo trzeba było właśnie ludziom pomagać, trzeba było coś robić. A tam siedzieć sobie, odpoczywać? Uważam, że w internacie odpoczywało się i to był raj. Tam była wolność. Ja sobie mogłem robić to, co uważałem. No oczywiście, trzeba to było robić sprytnie, ale byłem zabezpieczony. Natomiast najtrudniejsze było to ludzkie podpuszczanie: że ona przeżywała, że ktoś patrzy, czy ona może ma nowe buty, a przecież on nie pracuje i nie ma pieniędzy. Albo [to] co mówiłem z tym masłem, on w tej pracowni, on to wszystko kradnie, on korzysta z tego. Miałem kłopoty. I to było chyba najbardziej takie [uciążliwe]. To jest jedno, a drugie: dla mnie najgorsze są obecne czasy albo te czasy przed samym 89 rokiem, bo ja to rozumiałem, że to jest oszustwo. Bo w 88 roku, jak były te pierwsze strajki w

Bydgoszczy, to wiedziałem, czułem, że są prowokacyjne, że to na siłę chcą zrobić Solidarność. Przecież oni wychodzili pokazowo - Mazowiecki z Szablewskim. Przecież to była pokazówka po to, aby mieć legitymację do utworzenia związku. [Związku] całkiem innego, bo przecież to jest inny związek. Dla mnie to jest największa tragedia, że walczyliśmy, ludzie ginęli, pociliśmy się, narażaliśmy się, że Solidarność żyje, że Solidarność jest, że Solidarność nie da się podzielić. Mamy statut, jest władza, a tu pan Wałęsa w 89 roku likwiduje Komisję Krajową, a później 17 kwietnia 1989 roku rejestruje nowy związek o tej samej nazwie, o nazwie Solidarność. Czyli naprawdę kradnie tę Solidarność, tę z dołu, tę ludzką, tę naszą Solidarność kradnie. I proszę zauważyć, kto zakłada tę Solidarność. Wałęsa - ubek, agent, Mazowiecki - nigdy nie był członkiem Solidarności, tylko doradcą. Fałszywym doradcą, bo właściwie on był doradcą rządowym od związków zawodowych. I dopiero na strajku w Gdańsku okrzyknięto go doradcą Solidarności. Oczywiście spowodował to Wałęsa. Geremek - nie był członkiem Solidarności, a wprost przeciwnie, był I sekretarzem POP PZPR na Uniwersytecie. Nie był członkiem Solidarności, tylko tzw. doradcą. Michnik nigdy nie był członkiem Solidarności, Kuroń nigdy nie był członkiem Solidarności, Wujec przecież nigdy nie był członkiem Solidarności. Tam 15 osób zarejestrowało nowy związek. A tragedia polegała na tym, że chciejstwo tu, na dołach, ludzi nierozumnych, chciejstwo Solidarności to zaakceptowało. „Dobra tam, będziemy mieli związek.” Wracam teraz szybko, bo mówię o przykrych sprawach. W Duszpasterstwie Ludzi Pracy układałem modlitwy, pisałem jakieś różne krótkie wystąpienia. I ksiądz [był] przyjazny, ale często mnie posądzano i mówiono, że robię msze polityczne. Jak ja się modlę o solidarność, to uważano to za polityczne, jak ja podnoszę ręce w V to polityczne, jak mówię jakieś rzeczy, w słowie wstępnym nawiązuję do historii, w końcu naszej, nas, ludzi wierzących, to – polityczne. Niektóre rzeczy jakoś tonowałem, ale przychodzi 89 rok i trzeba doprowadzić do 30-procentowych wyborów, pseudo-wyborów, i proszę sobie wyobrazić, że tutaj różne czynniki tzw. działacze (powstaje Komitet Obywatelski i te inne pierdoły) zwracają się do mnie, jako do szefa Duszpasterstwa Ludzi Pracy, żebym podpisał jakiś papier, że „my też”, że Duszpasterstwa Ludzi Pracy też są za. Ktoś tam, ktoś tam, ktoś tam i m.in. Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Ja wtedy mówię: „Nie Panowie, zaraz, Duszpasterstwo Ludzi Pracy jest formacją duchową. My się polityką nie zajmujemy. To jest jedna sprawa. A po drugie – trochę morale! Ja nie nazywam czymś uczciwym 30 procent. Nie uważam to za uczciwe. Pod czymś takim absolutnie! Co? Duszpasterstwo Ludzi Pracy ma się podpisywać pod jakimiś papierami politycznymi? Że co, że się zgadzamy na pseudo-wybory? Absolutnie! My jesteśmy formacją duchową. My możemy organizować różne inne rzeczy, msze, modlić się za Solidarność, ale nie tego.”. Niestety taką twardą postawę miało połowę osób, (tacy, którzy się naprawdę konkretnie angażowali) a połowa niestety się pośliznęła, i niestety poszła za tym fałszem. I w ten sposób rozbiło się Duszpasterstwo Ludzi Pracy. Nie ma Duszpasterstwa Ludzi Pracy. I w pewnym stopniu mnie za to winią. No, przepraszam bardzo, to są skutki. Tak że takie rzeczy najbardziej boją. Tu byli też tacy Społeczni Pomocnicy Kościoła. Działali właśnie tam u salezjanów. To [byli] tacy ludzie jak Heniek Karaś, który podpisał lojalkę w 1984 roku, który się zgłosił się na ubecję i wygadywał bzdury, ujawnił się. Kiedy ludzie siedzieli w więzieniu, to on się „ujawnił”, że Solidarność nie ma sensu. Złożył stosowne zeznania na temat działalności Solidarności, nawet Solidarności Walczącej. Jakim prawem? Przecież on nie był! Przynajmniej mnie był nieznanym i na pewno nie robił! I taki agencik był później przy Okrągłym Stole i teraz bez przerwy jest prezesem, dyrektorem różnymi spółek itd. A myśmy ich nazywali Społeczni Pomocnicy Komuny. Co nam na przykład wtedy, w 87, a może w 88 roku robili, jak nam przeszkadzali? Dobrze wiedzieli, że my po mszy za Ojczyznę staramy się przynajmniej uformować pochód i iść na cmentarz złożyć kwiaty na grobach tych

poległych. To oni nic nam nie mówiąc zaprosili Hannę Skarżankę, żeby recytowała wiersze w kościele. I teraz proszę sobie wyobrazić. My jesteśmy umówieni - ten bierze wieńce, ten kwiaty, ten tablice, ten jakiś transparent. Ludzie są poumawiani, że od razu po mszy wychodzimy, żeby był jak najdłużej ten naturalny pochód. Kończy się msza, wychodzi Hanna Skarżanka, część ludzi wychodzi, część patrzy i się denerwuje na nas, na organizatorów, że „co wy? to mamy iść, czy mamy zostać?”. Pani Hanna też się denerwuje, bo jej głupio, bo „jak to, ludzie wychodzą?”. Połowa ludzi wychodzi? No to, jakie to jest działanie? No anty, rozbijackie. I tak dalej i tak dalej. Oni uważali, że po co drukować ulotki? Wystarczy czytać Tygodnik Powszechny! To byli tacy ludzie.

Na koniec porozmawiajmy na temat Pana obecnej sytuacji życiowej: gdzie Pan teraz pracuje, jak Pan sobie teraz radzi?

Ja miałem ciężkie koleje związane z obecną sytuacją, ponieważ jestem bankrutem. Mam zero dochodów, chociaż pracuję w dosyć dobrej firmie. Tak jak powiedziałem, najpierw byłem cieciem. W tym czasie udało mi się dostać do takiej prywatnej gazety, pracowałem jakiś czas w prywatnej gazecie. A potem przyjechał do mnie taki znany człowiek Alfred Znamierowski i zaproponował pracę w Editions Spotkaniach. Byłem przedstawicielem „Spotkań” tu na ten teren. Miałem naprawdę najlepszą sprzedaż książek od Zielonej Góry po Opole. I był taki dosyć dobry moment, że likwidował się Dom Książki. Można było kupić taki lokal - księgarnię. No i kupiliśmy księgarnię, ale niestety, kupiłem księgarnię na żonę wspólnika, czyli pana Piotra. No i jakoś tam funkcjonowałem. Przez siedem lat byłem tu najbardziej znana księgarnią, najlepsze książki ściągałem. Starłem się, przywoziłem. Nawet przychodzili tutaj tacy różni do księgarni i mówili mi tak: „A skąd Pan ma takie książki?”. Ja mówię: „No, jak to: ja książki mogę mieć tylko z hurtowni albo z jakiegoś wydawnictwa.”. Chodzi o to, że miałem książki, które ciężko [było] gdzie indziej znaleźć. Byłem tu w okręgu znany. Na dworcu we Wrocławiu była taka najsłynniejsza księgarnia, w Legnicy krótko była taka jedna księgarnia, no i ja. Przyjeżdżali z terenu.

I to zbankrutowało?

W księgarni robiłem spotkania, nawet z poetami, z pisarzami. Tam było siedlisko, nawet przychodzili się poradzić. Różne spotkania były i polityczne i wszelakie. Tam poznawałem ludzi. Ja lubię badać ludzi. Tam nawet robiłem taką akcję. Po sąsiedzku [była] szkoła, dwójka, gdzie była największa sprzedaż narkotyków. Ja wyśledziłem dealerów narkotyków. Ja potrafiłem zrobić im zdjęcia przy kasie, bo kupowali te woreczki. Ja wiedziałem, którzy to. Potrafiłem ich [zdjęcia] wywieszać na słupach, ostrzegając rodziców, że „dla twojego syna ten dealer, to jest tragedia”, itd. „Nie wiesz dlaczego dajesz na słodką bułkę dziecku, a tak naprawdę dajesz na narkotyki.” Bo rodzice tak przyzwyczaili – „no, musi mieć na tę bułkę, musi mieć kieszonkowe”. To jest takie fałszywe, takie zgubne. Ale to już kwestia wychowania. Tak że tę księgarnię miałem dosyć długo. Niestety padłem. Połamałem sobie łokieć, za dwa tygodnie ukradli mi samochód, Scenica, a za dwa tygodnie wspólnik, czyli żona wspólnika zabrała mi lokal. Ja strasznie byłem naiwny. Trzeba było na kogoś kupić, uważałem, że to jest obojętne na kogo, bo ja nic nie kombinowałem, nic nie miałem zamiaru kombinować, więc jak to będzie na żonę wspólnika, no to co? A tak naprawdę ona 50 groszy za to nie dała. Ja załatwiłem na raty z miastem, wpłacałem na raty z tego, co wypracowałem. Niestety przysłała mi bandziorów z Warszawy. Ale to jest troszeczkę polityczne, bo tu jest taki człowiek, który jest jego kolegą, a on startował w wyborach na prezydenta, a ja poparłem kogo innego, no i dostałem pstryczka. Pomógł mi prezydent, który wygrał, ale tak pomógł, że załatwił taką pracę w ZGM-ie za 700 zł. Ja nie ogłosiłem upadłości, bo uniosłem się honorem, że nie będę uciekał przed ludźmi, tylko postanowiłem oddawać,

co mogłem. Oddać z książek, czy z materiałów, a resztę, co mogłem, po 50, po 100 zł jakoś tam spłacałem, zarabiając te 700-900 zł w tym ZGM-ie. A tam się zajmowałem zaufaną sprawą, bo zamówieniami publicznymi. No i byłem takim policjantem, nazywali mnie policjantem, ponieważ ja pisałem specyfikacje do przetargu. Są w życiu takie sytuacje, że na przykład, gdybym wstawił jeden wyraz do specyfikacji, mówię tak symbolicznie, to dana firma by wygrała. I potrafili mi dochodzić i proponować 50 tysięcy np. za ten jeden wyraz. I w takim momencie, kiedy ja utraciłem wszystko (bo w z tyłu tej księgarni miałem pracownię, malowałem tam), czyli utraciłem pracę, utraciłem zdrowie, utraciłem samochód, możliwości; i taki sprawdzian. Czy byś się skusił wziąć te 50 tys. i kupić sobie samochód, który mi rzeczywiście był potrzebny, bo mój starszy brat miał udar niskiego cukru i ja jeździłem co tydzień do Kraśnika. Tak że samochód naprawdę był mi potrzebny. No, ale straciłem wszystko. Później zacząłem pracować w FEROM-ie, jest taka spółka, która wygrała przetarg na zarządzanie mieniem gminnym. Dopiero półtora roku temu (prawie dwa) Wojtek Swakoń z Energetyki, jeden z dawnych kolegów, których ja tutaj po studiach sprowadziłem (podziemie późnych lat osiemdziesiątych), któregoś dnia zadzwonił i zaproponował pracę: „Edek, jak chcesz to przychodź”. No i tam jakiś pieniądz konkretniejszy. Z tym że, niestety, teraz mnie dorwał komornik za stare długi. Jeszcze jak padł Współczesny Światowid, była taka hurtownia, z którą ja współpracowałem poprzez dyskiety, zwroty książek. Jak oni się likwidowali, to ja im tam zwracałem książki, może nie zawsze koniecznie te same tytuły, ale prezes: „aby tylko wyrównywać pieniądze”, a okazało się, że później syndyk nie uznał tych faktur i zostałem z długiem. I po latach ktoś kupił od syndyka te długi i przychodzi. Mam teraz komornika, zabiera mi 50% wypłaty. A drugie 50%? Jak się przyjąłem, wziąłem dwa kredyty, bo trzeba było zrobić wesele córce, tej najmłodszej, i kupić to auto, żeby do chorego brata jeździć i wozić go, bo cukrzyk, to trzeba było. Tak że jestem w tej chwili takim dziadem. Niestety.

Jaki jest obecnie stosunek Pana rodziny do Pana działalności opozycyjnej? Czy są dumni, czy mają pretensje?

Ja wiem, czy do końca dumni? Dzieci i żona niby tak. Ale jest jednak ten żal, chociażby z [powodu] kłopotów. Bułek ciepłych nie mają. Nie mieli i nie mają. Mnie nie było stać na komputer. A jednak syn, w ogóle dzieci skończyły wszystkie studia i to dosyć dobrze.

I teraz się już usamodzielnili?

Tak, już mam dwuletnią wnuczkę. Najstarsza córka, ta, które wtedy szła do szkoły, teraz jest po geografii. Uczy.

Czyli w tym momencie mieszka Pan sam z małżonką?

Tak, tak. Syn Dominik, który urodził się właśnie wtedy, skończył astronomię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, jest na [studiach] doktoranckich. Jest bardzo zdolny. I Tereska, najmłodsza, skończyła geologię.

Czy ubiegał się Pan o odszkodowania?

Nie, nigdy się nie ubiegałem. Kiedyś nawet mecenas Rossa, jak pierwszy raz coś takiego było, to mnie namawiał. Ja jakoś tak dziwnie podchodziłem do tego. Uważałem, że rzeczywiście ja nic nie robiłem dla pieniędzy. No, ale teraz, mimo wszystko myślę z tej ustawy skorzystać, bo nikt [mnie] nie pyta, czy ja mam pieniądze, żeby sobie zrobić szczękę. Bo mam połamaną szczękę i to kilka razy. I mnie nie stać na dwa czy trzy tysiące. Mam kilka chorób, które pozostały. Jeżeli są ludzie, którzy korzystają na naszych plecach, w jakiś sposób się tam dorobili... Nawet ubecy mi mówią... Był taki ubek, który mnie śledził. Idę do sklepu, a on bezczelnie mówi, że „dzięki Pana szefowi

mam dobrze”, ma sklep dzięki Wałęsie. Potrafią mi pluć, śmiać się w oczy, a ja będę się wstydził? Oczywiście uważam, że ja złożę pozwy. Bo byłem w sądzie, to trzeba do Sądu Karnego. Rozmawiałem z panią sędzią, a ona mówi, żeby złożyć trzy pozwy: za internowanie jest osobno, za aresztowanie, za siedzenie osobno, a za utratę zdrowia i tam inne rzeczy (że z pracy, że tyle i tyle straciłem, nie pracowałem), to mogą dochodzić osobno. Wcale to nie musi być 25 tysięcy (maksymalne za internowanie). Ja będę występował.

Czyli jest Pan w trakcie występowania?

Tak, tylko że troszeczkę mam bałaganu przez te przeprowadzki. Bo ja mam potężne archiwum, wszystko zbieram. Robiłem wystawy, mam trochę galimatiasu. Najgorsze, że my sami musimy starać się [o] te dokumenty. Na przykład z procesu o umorzenie kary, który był w Warszawie ja sam muszę występować do Warszawy itd. No, jestem w trakcie załatwiania papierków. Uważam, że to jest trochę ubliżanie, bo co tam, niektóre sądy dwa tysiące dadzą. I mówienie, że już później nie możesz się upomnieć. No trudno, ja ryzykuję. Spróbuję, bo ja do końca życia i tak nie spłacę długów.

Czy zna Pan swoją przeszłość z teczek udostępnionych przez IPN?

Jeszcze mi nie dali teczek, bo takie różne dziwne historie... Jak dostałem Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, to wtedy we Wrocławiu było spotkanie i wyszła taka książka „Represjonowani w stanie wojennym na Dolnym Śląsku”. Mam jakiegoś pecha, bo tam np. jest lista internowanych z legnickiego, ja patrzę, a tam Wóltańskiego nie ma. I pytam się profesora z IPN-u, z Wrocławia, ja to się stało, że tamta władza uważała mnie za ekstremę, wozila mnie nie po jednym, a po trzech internatach, a tutaj ktoś uważa, że nie byłem internowany. Pan profesor mówi, że to jest jakiś błąd, niedopatrzenie. Ja mówię: „No jak, dokumentów nie ma, brakuje?”. Ale tam rzeczywiście i innych nazwisk brakuje. Frania Pędzicha z Chocianowa nie ma, Sławka Jaszczy nie ma, ale to jest jakiś pech. Jeszcze opowiem taką króciutką historyjkę. Jadę na 70-lecie liceum plastycznego w Lublinie, jadę na ten zjazd. I wychodzi ładna książka, nie broszura, książka o absolwentach PSP i proszę sobie wyobrazić, że mnie tam nie ma. No, nie ma. A wie Pan, dlaczego mnie nie ma? Później się dowiedziałem. Bo była przeprowadzka szkoły. Okazało się, że mną się interesowali i mojateczka zginęła. Żadnych moich papierów tam nie było. Jak się przeprowadzali, to nie wiem według czego te sekretarki spisywały? No i mnie nie ma. Później rozmawiałem z dyrektorem, takim trochę solidarnościowym. Tak że mam takie różne pechy.

Strasznie wiele rzeczy jeszcze nie powiedzieliśmy. To, co było represją, zostało stwierdzone. To jest, myślę, takie najprostsze... Pan pytał, co najbardziej boli. Dlatego mówię: te wszystkie inne rzeczy bardziej bolą niż to, że się siedziało. Bo jedyny [raz], kiedy dostałem to wtedy, [a] inni chłopcy, koledzy, rzeczywiście dostali, bo i ręce wyłamywali. Najgorsze było to, jak oni widzieli, jak człowiek się przestraszył. To oni konsekwentnie... To psychologiczna sprawa, tak. Wtedy już idą na całość i nawet jak nie było, to wymuszają, że było.

Po tych wszystkich różnych książkach, jakie wychodzą, doszedłem do wniosku, że trzeba napisać swoją książkę. To znaczy, bardziej taki pamiętnik. Dlaczego pamiętnik? Żeby nie było posądzenia. Jak np. Śnieg pisał książkę i ponieważ moich ludzi on nie lubi, (bo tamci to lewactwo) to w ogóle ani nazwiska nie umieścił. Bo jeżeli on pisze o Komitecie Strajkowym np. na Rudnej i nie umieszcza Wóltańskiego, to jest to złośliwe, bo zaraz: a za co ja siedziałem? No to skąd mam takie czy inne dokumenty. No, to są dokumenty, jest uchwała Komisji Zakładowej, że byłem wybrany na to i na to [stanowisko]. No bo on mnie nie lubi. Ukradł mi 30 ryz papieru. Bo to właśnie on mi

ukradł, w taki lub inny sposób, ale to też za dużo opowiadania. I teraz, jeżeli ja bym pisał książkę i z kolei oparłbym się na swoich ludziach, no to też by były pretensje. Ten by miał pretensje, tamten, że tego nie zaprosiłem... Pisać swoje widzenie, swoje obserwacje, swoje doświadczenie, swoje kontakty i swoje wnioski. No bo na przykład mało kto wie, że taki Zabielski siedział, wyjechał, był rzeczywiście bity. Ale niestety, takie są skutki, jeżeli wchodzisz i komuś pomagasz.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.